Nr. 3. We Lwowie Poniedziałek dnia 20. stycznia 1890.

Dodatek literacki „DZIENNIKA POLSKIEGO”.

Towarzystwo paryskie w r. 1789.

Powtarzane tylekrotnie hasło: *après nous le déluge*, które rzekomo miało być dewizą arystokratycznego świata w przededniu wielkiej rewolucji, brzmi wprawdzie bardzo pompatycznie, lecz mimoto nie zgadza się wcale z faktycznym stanem rzeczy. W rzeczywistości sfery owe uprzywilejowane, nie myślały ani na chwilę o abdykacji. Z wyjątkiem niewielu umysłów głębiej oceniających współczesne stosunki, ogół tak zwanego towarzystwa pędził życie wolne od troski, bez żadnych obaw na przyszłość — podobnie jak to miało miejsce w ostatnich dniach drugiego cesarstwa. „W przekonaniu“ — powiada Lomenie w swej biografii Beaumarchais'ego — „że monarchizm posiada dość siły do zniesienia najzjadliwszej satyry, znoszono złośliwe dowcipy autora *Figara* z tym stoicznym spokojem z jakim ongi władca feudalny, przysłuchiwał się kpinom swego trefnisia!“ Za trafność powyższego twierdzenia ręczy najlepiej znany ogólnie fakt, iż właśnie owa śmietanka towarzyska protegowała zjadliwego autora i umożliwiła przedstawienie jego utworów na scenie.

Etre toujours gai, voila le propre du Français — powiada pewny turysta angielski zwidzający Francję bezpośrednio przed r. 1789., zaś Taine pisze w znanem w swem dziele (*Les origines de la France contemporaine*): Nic nie zdołało ukrócić tego humoru ani wiek, ani wygnanie, ni też nieszczęście; humor ten żyje nawet w r. 1793. w więzieniach republiki!“ I w rzeczy samej zdobycie Bastylii nie zdołało zakłócić apatyi towarzystwa jeżeli w dniu 4. sierpnia reprezentanci szlachty i duchowieństwa zdecydowali się na to, by zrezygnować ze swych przywilejów na rzecz ludu, to mimoto nie myśleli bynajmniej wyrzec się swych pretensji do życia wesołego a raczej do użycia...

Głównem ogniskiem życia tej sfery jest jeszcze ciągle dwór. W roku 1789 Ludwik XVI. liczył czterdziesty i piąty, zaś Marja Antonina trzydziesty i czwarty rok życia. Roczny dochód królewskiej pary wynosił 477 miljonów, a zatem wedle dzisiejszej waluty około 1.200 miljonów liwrów. Wersal jest miastem z pałaców złożonem. Koło dworu królewskiego wznoszą się rezedyncje książąt de Conde, de Bourbon, de Penthievre, hotele de Maurepas, d'Eu, de Noailles, W dwumilowym okręgu rezydencji, w Sceaux, w Brunoy, w St. Germain znajdowały się wille i zamki arystokratyczne, z których co południa paradne karece dążyły do Wersalu. Dwór cywilny króla liczył 4.000, dziesięć tysięcy urzędników dwór wojskowy, którego utrzymanie pochłaniało 40—50 miljonów rocznie. Służba dworska składała się z 1.458 osób; na stajni stało 1.857. koni, 217 powozów. Dwór Marji Antoniny liczył osób 496, dwór hrabiny d'Artois 239, hrabiny Prowancji 256 osób. Gdy chodziło o utworzenie osobnego dworu dla jednomiesięcznej *madame royale*, królowa unikając „wszelkich niepotrzebnych zbytków i nadmiernej liczby służby“ złożyła tako wy z 80 osób. — Tak pisze w swej relacji poseł austryjacki do Wiednia.

Wśród tego świetnego dworu, pogrążonego w wirze zabaw i rozrywek, nie zdawano sobie sprawy anwet z groźnych wypadków lipcowych. Po śniadaniu gra, później komedja, po obiedzie znów gra — oto zwykły porządek dzienny u dworu. Trzy razy w tygodniu grywano komedję i dwa razy operę; od czasu do czasu odwidzano też wielką operę w Paryzu. „Śmiejemy się, gramy, tańczymy, słuchamy muzykę, bawimy się w teatrze i na redutach, *on dit des galanteries et des medisances*“ — pisze jeden z dworaków w tych pamiętnych dniach ogólnego przewrotu.

Cały czas przepędzano w salonie, światło świec jarzących zastępowało — słońce. Jedna z dam wielkiego świata w liście do przyjaciółki wyraża się w ten sposób: „Nie piszę ci o polowaniach, o lekturze, o spacerach, gdyż nie polujemy, nie czytamy i nie używamy wcale przechadzki. Cóż więc robimy z czasem? Jedni grają w bilard, inni w domino, bawimy się pogadanką, żartujemy, kokietujemy i tak nam dnie schodzą“. Dobry humor, sztuczny czy prawdziwy był nieodzownym warunkiem powodzenia w tych salonach.

Małżonkowie żyli obok siebie — nie z sobą. Mąż kazał się oznajmiać u żony i odwrotnie. Przemawiano do siebie: pan, pani i to nietylko wobec ludzi lecz i w kole rodzinnem. Za przykładem męża pani domu miała swój dwór osobny, towarzystwa, w których bywała i które przyjmowała. Małżeństwo mieszkało pod jednym dachem i na tem też kończyło się ich wspólne pożycie. Bliższy stosunek między mężem, a żoną uważano jako parafiańszczyznę, śmieszność. Wychowanie dzieci spoczywało w zupełności w ręku ochmistrzów i służby. Syn przemawiał do ojca: panie!; córka przychodziła rano ucałować ręce matki i nie oglądała jej przez dzień cały. Wszelkie oznaki czułości były wykluczone, dzieci wobec rodziców odczuwały tylko rodzaj trwożliwego uszanowania. Mali chłopcy, upudrowani, nosili harcopfy, loczki wypomadowane, szpadę i kapelusz pod pachą. W żabotach i w sukni przetykanej złotem, zalecali się do małych dziewczątek z gracją wyuczoną przez baletnika. Dziewczynki od dziesiątego roku ubierano w strój dam salonowych o kolosalnej fryzurze. Zaledwo dzie-

ciakom rozwiązały się języki, już kazano im przemawiać wyszukanymi zwrotami, dworskim tonem. Jedenastoletni książe Angouleme przyjmując odwidziny pewnego dyplomaty ozwał się do niego w te słowa: „Czytam właśnie w plutarchu żywoty wielkich mężów starożytności. Nie mogłeś pan przyjść w dogodniejszą porę".

Użycie w najwyszukańszej i w najbardziej wytwornej formie było filozofią towarzystwa. W owym czasie nie było się starym" — mówiła babka pani George Sand do swej wnuczki — „rewolucja dopiero sprowadziła starość. Twój dziadek, moje dziecię, zaślubiając mię w sześdziesiątym drugim roku życia był jeszcze przystojnym, eleganckim, pełnym gracji i wytwornych manier, humor jednostajny zachował do ostatniej chwili życia... Wtenczas umiano jeszcze żyć i umierać. Mimo reumatyzmu chodzono lekko, posuwiście, bez najmniejszego skrzywienia. Ukrywano ułomność. by się okazać człowiekiem dobrze ułożonym. Umiano używać życia a skoro wybiła ostatnia godzina, to umierano w ten sposób, by o ile możności nie popsuć zabawy innym".

Naturalizm był wykluczonym z owego towarzystwa. Wszystko było sztuczne: ubior, głos, ton rozmowy, myśli i uczucia. „Naturalne objawy uczucia były wówczas tak wielką rzadkością" — pisze jeden z współczesnych autorów — „iż powróciwszy z Wersalu do Paryża przystawałem na ulicy, by przypatrzyć się psu, który ogryzał kość". Czytamy w pismach George Sand: „istniał w owych czasach odrębny sposób chodzenia, siadania, witania, zdejmowania rękawiczek, krótko mówiąc cała towarzyska mimika, do której od maleńkości przyzwyczajano dzieci, by stała się ich drugą naturą. Te konwencjonalne formy były rzeczą niesłychanej wagi zarówno dla mężczyzn jak dla kobiet sfery arystokratycznej. Najdoskonalsi aktorowie mimo najsumienniejszych studjów nie są dziś w stanie reprodukować tych manier i galanterji wielkiego świata".

W istocie szczere, silne uczucie było mitem w tem wytwornym światku, dla którego miłość była czemś w rodzaju *l'echange de deux fantaisies.* Czułostkowość wywołana przez Rousseau nie stoi bynajmniej w sprzeczności z tem cośmy powyżej powiedzieli. Ta sentymentalna mania nie była niczem innem jak tylko kwestją mody, której hołdowano dla dobrego tonu. Ten chorobliwy sentymentalizm doprowadzał do osobliwszych eksperymentów. W zamkowym parku budowano świątynie przyjaźni, w salonach stawiano ołtarze dobroczynności. Noszono roby *á la* Jean Jacques Rousseau *„analogues aux principes de cet auteur.* Marja Antonina umykała niejednokrotnie z gwarnego Wersalu do cichej ustroni w Trianon, by w skromnej sukience i w słomianym kapelusiku łowić ryby w stawie, lub przyglądać się dojeniu krów w oborze. Księżna Bourbon o świcie wybiegała do wsi, by rozdzielać jałmużny ubogim. Cnota była w modzie podobnie jak Rousseau, była pożądaną odmianą wobec form konwencjonalnych, które były równie dalekiemi od cnoty jak od natury. Świetnemu temu gronu brakło poprostu siły fizycznej, by stawić czoło katastrofie 1789 roku. „Wszystkie te piękne panie i wytworni panowie" — słowa George Sand — „poruszający się z taką gracją na wysłanej dywanami posadzce salonów, nie potrafili bez znużenia przejść trzech kroków na ulicznym bruku. Nie umieli otworzyć lub zamknąć drzwi, gdyż od tego była przecież służba". I jakiej mogli ci ludzie oprzeć się burzy rewolucyjnej i fali wzburzonego ludu? Dobry ton, ta wyrocznia wykwintnego świata, nie pozwalał im mięszać się do wrzawy ulicznej. Uczono się władać zręcznie szpadą, ale nie chciano wodzić się za łby z hołotą. „Kawalerowie z roku 1789" — mówi Taine — „są jeszcze ciągle następcami tych panów, którzy pod Fontenoy uchyliwszy kapelusza wołali do przeciwnika: Panowie Anglicy strzelajcie pierwsi!" I wśród najsroższych przewrotów rewolucyjnych przestrzegała arystokracja najtroskliwiej tych form, wśród których wzrosła. Ucieczka królewskiej rodziny do Varennes nie udała się z powodu zwłoki, wywołanej przepisami etykiety. Wobec wrogiego wystąpienia stanu trzeciego nie znano innej broni, prócz konceptów, epigramatów i parodji. Nie słychać o żadnym wypadku, by szlachcic aresztowany stawiał opór. Z uśmiechem na ustach szedł do więzienia, gdzie najskrupulatniej przestrzegał zachowywania przepisów dobrego tonu. Ubierano się starannie, odwidzano [illegible] wzajemnie, gwarzono; z rąk d[illegible]y czułe wierszyki i dowcipne epigramaty. W zakątku korytarza, przy kopcącej lampce panie schadzały się na towarzyskie zebrania. Wobec trybunału zachowywano się z godnością a nawet w obliczu śmierci uśmiech nie schodził z ich ust. Jechało się pod gillotynę z tą satysfakcją, że jest się w dobrem towarzystwie.

Dawne Peru i tegoż urządzenia

przez

Walentego Ćwika.

(Ciąg dalszy).

Obaj biegli następnie w najszybszym pędzie obok siebie tak długo, dopokąd odbierający nie nauczył się dosłownie zlecenia i nie powtarzał je bez zająknienia. Jeśli pęk sznurków był owinięty ciemną czerwoną nicią z pajczy (ozdoba na głowie) władcy, oznaczało to bezpośrednio przez monarchę wydany rozkaz, a taki quipu odbierał tak goniec każdy, jak i adresat z uszanowaniem. Nadzwyczajne zjawiska, jak powstanie, napad nieprzyjaciół sygnalizowano znakami ognistemi, by umożebnić władcy poczynienie zarządzeń przed przybyciem gońców. Instytucję gońców wprowadził wedle tradycji w życie inka Yupanki Pałczakutek z przydomkiem wielki zwycięski wódz, odnowiciel stolicy Cuzco i potężnej świątyni boga słońca, pod którego rządami doszło państwo do najwyższego rozkwitu. Pierwotnem przeznaczeniem gońców było roznoszenie rozkazów władcy, następnie dostarczanie mu owoców i wiktuałów z dalekich okolic, a jak gorliwie spełniali obowiązek, dowod w tem, iż monarcha w swej, 500 km. od brzegów oceanu odległej rezydencji, spożywał świeże ryby morskie.

Dziwnem zaprawdę zjawiskiem jest okoliczność, iż pomimo tak wysoko rozwiniętej cywi-

lizacji nie znali mieszkańcy Peru pisma, i że pozostali w tej mierze w tyle za pokrewnemi im oświatą szczepami w Mexyku i Yucatanie, gdzie obrazowe pisma przetrwały dotychczas na sędziwych pomnikach. Podanie poucza nas, iż za czasów czwartego władcy Peru, Sinchi Cozque nieobecną była w państwie umiejętność, że uczeni posługiwali się odpowiednio preperowanemi liśćmi bananu, lub ryli litery w kamieniu, i dopiero po klęskach, jakie spadły na kraj pod rządami następnego króla Tupaka Cauri Paczakuteka, po dżumie, napadach nieprzyjaciół i innych zdarzeniach, oznaczyła wyrocznia pismo, jako przyczynę nieszczęść w skutek czego zatarto wszelkie jego ślady i zakazano pod grozą śmierci, wprowadzać je na powrót w życie. Uczony, który wiele lat później doszedł do wynalazku obrazowego pisma poniósł śmierć na stosie. W miejsce pisma zaprowadzono jako środek do wymiany myśli z nieobecnymi, pęki sznurów (quipu), wynalazek przyjęty prawdopodobnie od Azjatów, z którymi mieli Amerykanie, jak się zdaje, oddawna pewną styczność. Chińczycy posługiwali się pierwotnie sznurami przy oznaczeniu liczb i wogóle przy rachunkach. Quipu („związany“) lub „węzeł“ składał się z 20—50 ctm. długiego różnokolorowego sznura, albo tkaniny, jako rączki, na której wisiały z obu stron w kształcie frędzli, cieńsze i grube, długie kolorowe wisiory w miarę oznaczania liczb lub przedmiotów, a kombinacja kolorów i grubość sznurów umożebniała przesłanie wszelkich wiadomości i myśli. Właściciele quipu (kamayoks) używali ich z podziwienia godną zręcznością i odczytywali z węzłów, tak pewnie dzieje, poemata, ustawy i rozporządzenia, jak to my czynimy z naszych rękopisów, rachunków lub notatek. Każda wieś miała swego kamyoksa, na którą to godność powoływano ludzi zaufanych, i uczonych w sztuce przechodzącej prawem dziedzictwa na potomków. Z grona kamyoksów rekrutowali się też dziejopisarze i badacze. Niewiele było zresztą wypadków politycznego i społecznego życia narodu, w których nie znachodziły by się pęki sznurów.

Opisane urządzenia komunikacyjne dozwalały rezydencji informować się szybko o wypadkach w najodleglejszych zakątkach państwa, każdy też powstańczy ruch, każde zjawienie się obcych zastępów dochodziło natychmiast do wiadomości monarchy, a ten spieszył na czele wiernych szeregów do walki. Imponujących obrazów świadkiem musiały być wówczas inków trakty, przez które przeciągały wyćwiczone w wojennem rzemiośle, okryte zbroją, pełne ozdób na głowie oddziały bojowników. Jeżeli wyprawa jak to zwykle miało miejsce, skończyła się zwycięztwem monarchy, ożywiała się wojskowa droga tłumami ludu, pełnego zapału dla zwycięzcy, niesionego w złotej lektyce w otoczeniu lśniących od ozdób rycerzy, w otoczeniu jeńców i trofeów. Innemi były widoki, gdy po szlaku dążyły gromady pielgrzymów do narodowej świątyni w Cuzco, do wyroczni w Pacachame, gdy władca zwidzał prowincje, spieszył na łowy, otwierał uroczyście roboty polne, lub święcił początek żniwa. Takie podróże odbywał z wielkim przepychem i rozgłosem. Na czele postępowało 5000 procarzy, za nimi tyluż kopijurków, na około lektyki zaś gwardja w zbitych szeregach, złożona z łuczników i halebardników. Zaufani gońcy, biegnąc obok drogi, składali o wszystkiem, co spostrzegli panu swemu sprawozdanie i zapowiadali zbliżanie się pochodu ludności, która płynęła z bliższych i dalszych okolic, zalegała przydrożne pagórki i doliny, pozdrawiała władcę, oddawała mu boską prawie cześć i uwielbienie W ten sposób odwidzał inka rozmaite prowincje i zakątki kraju, przekonywał się naocznie o stanie rozległego państwa, słuchał skarg i zażaleń poddanych, dopomagał udręczonym, karał winnych, karcił nadużycia urzędników i rozstrzygał osobiście wszelkie ważniejsze sprawy.

Porównajmy teraz, tę, mianem „dziczy“ napiętnowaną przeszłość, z późniejszymi „cywilizacjami“, stosunkami zachodnio-południowej Ameryki, a napotykamy, zamiast patryarchalnych rządów srogi despotyzm nastepnych czasów, zamiast dobrodziejstw spokojnego rozwoju, spustoszenia wojenne, walki stronnictw, gwałtowne przewroty społeczne. Znikły drogi inków, znikły ich pałace, gospody, ruiny tylko przetrwały wieki i pokolenia, jako dowody wzorowej skrzętności i cywilizacji, jako pomniki minionej wielkości.

„Wielki szlem“.

Zaledwie godzina ósma na staroświeckim wydzwoniła zegarze, jak zabełkotał dzwonek u drzwi wchodowych, dając hasło, że zjawił się gość pierwszy, za którym inni nadciągną i napełnią pokoje gościnnego domu państwa Szczawskich. I rzeczywiście dzwonek się zaczął odzywać raz po raz... Przybywali naprzód mężczyzni żonaci i kawalerowie, którzy, po zwykłem powitaniu gospodarstwa i po koniecznem zawiadomieniu, o czem wszyscy wiedzieli, że zimno na dworze (było to w styczniu) — usiedli w salonie, rzucając co chwila oczyma na drzwi sąsiedniego pokoju, gdzie kilka zielonych stolików z właściwemi przyborami stało. Gdy dostateczna liczba zebrała się mężów, p. Artur się odezwał:

— Nie traćmy drogiego czasu, panowie!

Widocznie oczekiwano tych słów... powstali natychmiast, z grzecznym uśmiechem skłonili się bawiącej ich rozmową gospodyni i — zasiedli do winta.

— Pas!

— Paaas — wnet z przyległego odezwało się pokoju.

Umilkły na chwilę dzwonek zaczął znów bełkotać, gospodarz poskoczył do przedpokoju... przybywały panie. Gwarniej się nieco zrobiło, przyjaciółki ściskały się serdecznie, nieprzyjaciółki w uniesieniu rzucały się w ramiona, komplementując się nawzajem. Pan Marek całował rączki przybyłych niewiastek, zdejmował futra, rozwiązywał szale, dopomagał ziębniętym nóżkom z kaloszy się zwolnić.

— Panowie już pewnie przy kartach — zaczęła jedna z pań.

— A tak! — odpowiedział gospodarz.

— Tylko nie pan Adam, broniąc narzeczonego, odezwała się młoda, o jasnych włosach dziewczyna.

— Właśnie dziś pierwszy jego popis — rzekł pan Marek. — Dotąd znał winta z teorji tylko teraz w praktyce go zastosuje.

Panna Julja spłonęła.

— Nie pozwolę za nic! — zawołała na wpół z uśmiechem, ale w dźwięku jej głosu stłumiony gniew znać było.

Szybko przebiegła salon, kierując się do gabinetu pana Marka, skąd dłuższe lub krótsze: pas! było słychać.

— Panie Adamie! — zawołała, w drzwiach stojąc.

— A... pani! — odezwał się młodzieniec podnosząc się nieco na krześle i pochylając głowę w ukłonie — zaraz służę!..

— Proszę pana.

— W tej chwili, łaskawa pani!

— Ale ja czekam...

— Zaraz, droga panno Juljo — chwileczkę daję wielkiego szlema!...

— W trefle — odezwał się do grających.

— Pan, panie Alfonsie, wychodzisz?

Pan Alfons posuwiście rzucił kartę, rozpoczęła się gra wielkiej wagi.

Silny rumieniec wystąpił na twarz stojącej w drzwiach dziewczyny, chwilę patrzyła na zajętego grą pana Adama, wreszcie zmarszczywszy czoło, odwróciła się szybko i weszła do salonu, gdzie gwarno było od szczebiotu jej rówienniczek i rzucającego na wsze strony dowcipy gospodarza

Nagle w gabinecie podniósł się gwar niezwykły, pan Adam został bez dwóch...

— Czemużeś pan nie atakował do końca?— wołał pan Alfons.

— Nie spodziewałem się, że u pana dwójka jeszcze została — tłumaczył się nowicjusz.

Przecież pan do trzynastu rachować umiesz! wrzasnął niezadowolony partner pana Adama.

— I cóż, że umiem, kiedy nie rachowałem wcale.

— Nie rachowałem! — odburknął wspólnik, niefortunnego szlema, — to czegoż pan do gry siadasz, nie mając o niej pojęcia? Jakto nie mam pojęcia!... — bronił się pan Adam — licytowałem świetnie, zrozumiałem pana doskonale, w czas wpuściłem do ręki...

— I pysznie pod koniec rozegrałem — dokończył, śmiejąc się Artur.

— Kiedy to temu panna Julja winna!.. .— syknął przez zęby narzeczony.

Powstał z krzesła...

— Dokąd zmierzasz? spytało głosów kilka.

— Muszę przecie powitać... i — wytłómaczyć się, że zaraz nie wstałem, bo...— będą dąsy.

— Chcesz zawczasu przygotować pantofel dla siebie.

— Kiedy bo widzisz...

— Widzę to ciągnął pan Artur, że gdy się ożenisz, to żona ci do winta zasiąść nie pozwoli

— Oho!

— Nie gadaj no oho!... Jak sobie pościelesz tak się wyśpisz. Lepiej, żeby od razu narzeczone wiedziały, że niekoniecznie po ślubie ulegać się ..n będzie. Skończysz grać — pójdziesz. Teraz ..orzystaj z karty, która ci szalenie iść zaczęła... ..ozdajesz.

Pan Adam się zawahał — Artur mu talję kart podsunął.

— Może... masz rację.

— Niepotrzebnie „może“ wtrąciłeś.

— Rzeczywiście, że to jest nieprzyjemnie, gdy ktoś w trakcie gry przeszkadza.

— Ja tego znieść nie mogę — mówił Artur. Szczególnie mnie irytyje, gdy karty rozdane i pierwsza już na stół padła, a tu cię na herbatę lub wieczerzę zapraszają... Zaraz mówisz... Przybiega pani gospodyni: panowie! herbata stygnie. Zaraz, zaraz — powtarzasz. Gospodarz pędzi panowie! proszę proszę, proszę — zajmujcie miejsce przy damach. Co nas te damy obchodzić mogą, kiedy jest wint na stole!...

— Paaas — odezwał się pan Alfons.

Adam rzucił karty o stół...

— I u mnie pas -- zmieniło się szczęście!..

— Trzy piki odezwał się pan Artur, nie zważając na „pas“ przeciwnika.

Pan Marek wpadł do pokoju.

— Herbatka ostygnie, panowie — proszę proszę!...

— A co? robiąc rozpaczliwy ruch ramion— zawołał Artur — nie mówiłem?

— Proszę, proszę — chodząc od gościa do gościa, zapraszał gospodarz.

— Mój gospodarzu — każ no lepiej nam tutaj coś przynieść i koniec!...

— Eee — może lepiej tam...

— Proszę ciebie, zrób swoim gościom tę przyjemność i tu każ przynieść sznapsa i coś po sznapsie...

— A!... jeżeli chcecie...

Zawrócił się i wyszedł, ale w pół drogi spotkał, z zaproszeniem spieszącą żonę.

— A co — prosiłeś?

— Nie chcą przerywać gry — i proszą, by im herbatę tam posłać — odpowiedział zakłopotany nieco pan Marek.

— Ależ niema komu rozuosić — zresztą panie się same bawią.

— No — widzisz musimy być względni..

— Nie zaszkodziłaby ta uwaga i grającym.

— Tak... ale...

— Idź do pań — ja sama panów poproszę.

Pan Marek pobiegł usługiwać paniom; podawał cukierki, krajał torty, obierał pomarańcze — gospodyni zaś domu udała się do gabinetu męża...

— Panowie czekamy z herbatą...

Pan Artur ręce opuścił.

— Może pójdziemy — odezwał się szeptem Adaś.

— Mąż pani był tak grzeczny, że obiecał nam tu coś przysłać — rzekł pan Artur.

— A ja będę tak niegrzeczną — odparła gopodyni z uśmiechem — że karty zabiorę i panów wezmę z sobą.

Dobrodziejko! — zawołał przerażony, chwytając gotowe do napadu drobne paluszki pani domu — nie rób mi tej przykrości — taka karta jaką mam dzisiaj, raz tylko w życiu przychodzi.

— Może robimy subjekcję? — rzekł jeden z panów powstając.

— Nie... ale myślałam...

— Jeżeli nie — odpowiedział pan Artur— to czekamy pana Marka ze sznapsem i czemś tam po sznapsie...

Ucałował rączkę gosposi i zadeklarował pięć pik... *(C. d. n).*